

BIBiK

Biuletyn Informacji Bibliotecznych i Kulturalnych

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Łodzi



**Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi**

spotkanie autorskie

z

*pisarzem i dziennikarzem z Kanady
Edwardem Wójciakiem*

7 maja 2007 r.

sala konferencyjna (II p.)

Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej
ul. Gdańska 100/102

Od kilku lat kolejne setki tysięcy Polaków wyjeżdża z kraju szukając za granicą dobrze płatnej pracy, swojej szansy, lepszego życia, realizacji marzeń. Przyzwyczajamy się do sytuacji, że tak wielu młodych wyjeżdża w ramach migracji zewnętrznej. Emigracja polityczna, emigracja zarobkowa była wpisana w całą historię Polski XIX i XX wieku. Otwarcie granic Unii Europejskiej stworzyło dla Polaków zupełnie nową sytuację społeczną, kulturową, cywilizacyjną. Dynamika tej swoistej emigracji jest pomimo podobieństw inna niż emigracja lat wcześniejszych. Dnia 29 maja 2006 r. gościliśmy w Bibliotece łódzianina, profesora Włodzimierza Krysińskiego, komparatystę, literaturoznawcę, tłumacza, wykładowcę Uniwersytetu w Montrealu, który wyjechał z Polski pod koniec lat 50-tych i od 1966 r. mieszka w Ottawie. Dzisiaj mamy okazję uczestniczyć w spotkaniu autorskim Edwarda Wójcia - pisarza i dziennikarza urodzonego w Tomaszowie Mazowieckim, od 1989 r. osiadłego również w Kanadzie, niedaleko Toronto. Zapoznanie się z twórczością Edwarda Wójcia poszerzy panoramę literackich osiągnięć pisarzy regionu łódzkiego i będzie zapewne także dobrą okazją do refleksji nad minioną i obecną kondycją Polaków na emigracji, czy też uczestniczących w migracji zewnętrznej.

Barbara Czajka
Dyrektor Biblioteki

Edward Wójciak urodził się w 1948 roku w Tomaszowie Mazowieckim. Z wykształcenia jest nauczycielem języka polskiego. Po kilku latach zatrudnienia w szkolnictwie i kulturze rozpoczął pracę na własny rachunek. Jest kolejno: kierowcą, akwizytorem ryb, agentem stacji benzynowej, cukiernikiem.

W 1987 roku wraz z rodziną wyjechał z Polski i po wielu przygodach emigracyjnych w 1990 roku osiedlił się w Kanadzie, gdzie do dziś mieszka w mieście Mississauga blisko Toronto, w prowincji Ontario.

W konkursie literackim ogłoszonym przez „Gazetę” (<http://www.gazetagazeta.com/>) – codzienne torontońskie pismo dla Polonii – odnosi sukces, zwyciężając opowiadaniem: „Nasza kochana SB” oraz „Klucze do życia”. Redaktor naczelny „Gazety” proponuje mu współpracę. Zostaje dziennikarzem i do dziś redaguje stałą kolumnę sportu polonijnego, pisze opowiadania, powieści w odcinkach, felietony, wywiady i reportaże. Píše także do internetowych portali polonijnych: www.expatpol.com (Chicago) oraz www.swiecienasz.com (Montreal). W „Expatpolu” pełni funkcję opiekuna działu Toronto. W roku 2005 został laureatem dwóch wyróżnień w III Konkursie Literackim im. Marka Hłaski, zorganizowanym przez Klub Inteligencji Katolickiej w Wiedniu i ich pismo „Jupiter”. Wyróżnione opowiadania to: „Idę się bać ... zaraz wracam” i „Siwy dym”.

W grudniu 2004 r. ukazała się drukiem jego pierwsza powieść „AKADEMIA POLITURY”, drukowana na łamach „Gazety” w odcinkach od lipca 2003 roku.

Realizm polskich losów przeplata się w tej powieści z fikcją wątków kryminalnych i brutalnością osobistych przeżyć głównych postaci. „Wielkie ucieczki” z komunistycznej Polski końca lat osiemdziesiątych – początkiem pościgu rodaków za złudzeniami. Niektórym żądza pieniądza przesłania świat – tak autor rozpoczynał streszczenia odcinków dla czytelników „Gazety”.

Akcja następnej powieści „ZUPA Z KRÓLA – BALLADA O KOCHANIU” toczy się w Polsce i przedstawia życie w małym miasteczku w środku Polski i opowiada życie chłopca z małego miasteczka, którego trudny okres dorastania przypadł na lata powojenne. Kończy się w przededniu stanu wojennego ucieczką bohatera do USA.

Trzecia powieść nosi tytuł „SIWY DYM”. Jej akcja rozgrywa się w Kanadzie. Tematem są perypetie bohatera, Filipa Krawca w potyczce z życiem – piciem na emigracji, alkoholizm oraz „ból egzystencyjny”, czyli problemy nieobce wielu współczesnym Polakom żyjącym po obu stronach oceanu. Obecnie w odcinkach ukazuje się najnowsze część przygód Filipa Krawca – powieść „IDĘ SIĘ BAĆ ... ZARAZ WRACAM”.

Edward Wójciak

AKADEMIA POLITURY (fragmenty)

[...]

Nazwaliśmy się AKADEMIA POLITURY. Było to całkiem nieformalne stowarzyszenie nierobów, inteligentów z ogromnymi ambicjami, lecz już początkujących alkoholików. Wówczas od takich ludzi roilo się w domach studenckich Petrelu, lecz ja nie dbam o innych. Mówię tylko o nas, o naszej wąskiej grupie, z której po latach wyszło kilku wyjątkowo wczesnych nieboszczyków, ale również co najmniej jeden człowiek z głośnym w świecie nazwiskiem i i kilku mistrzów swego zawodu. Wówczas jednak toniliśmy w bajecznie kolorowej beznadziei. Gdzie tam, nikt z nas nie przyznawał się do skłonności przechodzących w nałóg. Ale każda moja wizyta w jaskiniach akademików kończyła się ostrą imprezą.

Zaoczne studia pedagogiczne na Uniwersytecie Łódzkim wymagały dyscypliny. Z początku aż paliłem się do nauki. Imponował mi ponowny status studenta, chociaż tylko zaocznego. Ale nie na długo starczyło mi zacięcia. Po czwartym roku zaczęło się seminarium magisterskie. Pisałem pracę o o drugim życiu wychowanków zakładu poprawczego. Temat sam wybrałem, bo był mi teraz najbliższy. Jeździłem do Łodzi na comiesięczne sesje. Miałem dużo wolnego czasu. Po zajęciach nie chciało mi się wracać do siedliska złodziei. Korzystałem z wolności.

Moi koledzy z ogólniaka porozrzucani byli po różnych uczelniach. Mecenasa, Toni i Hammer kończyli inżynierię na politechnice. Szybko nawiązałem z nimi kontakt. Wszyscy mieliśmy zacięcie humanistyczne, a bodaj największe – chłopaki z politechniki. Czytaliśmy, co wpadało w ręce, łącznie z krajową prasą społeczno-kulturalną, która się bardzo w tam-

tych czasach rozrosła. Literatura drugiego obiegu krążyła kanałami. Zaczytywaliśmy się Hłaską, mieliśmy dostęp do paryskiej „Kultury”.

Dyskutowaliśmy w oparach alkoholu, łąziliśmy do kina, nie opuszczaliśmy żadnego filmu podczas słynnych łódzkich „Konfrontacji”. Chłopaki rzadko chodzili na zajęcia. I ja zacząłem chodzić w kratkę, gdyż balangi przeciągały się do rana. Najczęściej zaczynaliśmy od piwa „Pod Siódmkami”. Pod wieczór, jak zwykliśmy nazywać północną porę, kupowaliśmy na melinie flaszkę i wracaliśmy na Aleję Politechniki. Tam z różnym skutkiem piliśmy i dyskutowaliśmy, o czym tylko się dało. Częstym tematem była ucieczka z kraju. Nieliczni nasi znajomi już to zrobili. Prawie wszyscy pozostali, bardziej lub mniej oficjalnie, mieli to w planie. Chcieli tylko wytrwać do dyplomów.

Moja pozycja była najgorsza. Po „zajęciach” musiałem wracać do pracy. Byłem jedynym człowiekiem z tego grona wytrwałych koneserów alkoholu, który miał stałą pracę. Zdarzało mi się coraz częściej zapominać o tym obowiązku. Kongo Killer aż siniał ze złości, kiedy przynosiłem mu kolejne zwolnienie lekarskie, wykombinowane od dziewczyn z medycyny. To był mój dyrektor, człowiek z awansu partyjnego. Ksywę otrzymał w spadku po najokrutniejszym białym najemniku z byłego Konga Belgijskiego. Na razie nie mógł nic mi zrobić.

To Mecenasa wymyślił nazwę dla naszego klubu. Kiwalismy się kiedyś nad blatem zarzuconym butelkami i stertą tygodników. Wszystko zalane było przeraźliwie śmierdzącą zupą ogonową z torebek, specjalnością błyskawicznych zabiegów kulinarnych Mecenasa.

Całymi dniami potrafił konsumować to świństwo. Dyskutowaliśmy zażarcie na temat aktualnych wydarzeń politycznych.

Mecenasa wymyślił, że my wszyscy, razem wzięci, nie mamy pojęcia, o czym mówimy. Cały się zaciętrzewił, gdy nam wykładał, że te nasze wymądrzania, to jest zwykła politura. Czyli pobieżna znajomość tematu, zaczerpnięta przez takich jak my jełopów z ogłupiającej lektury komunistycznej prasy. A potem dokonał podsumowania:

- Dlaczego złapiemy wodę, mądrujemy się bez końca, planujemy wielkie rzeczy, zamiast wziąć się do jakichś sensownych działań? Dlaczego udajemy playboyów, chociaż wyglądamy na kloszardów? Nawet studiować nam się nie chce. Prace semestralne kupujemy za pieniądze od pisarzy. Nawet nie chce nam się podrywać panienek, bo wtedy należałoby się umyć, ogarnąć i na jakiś czas wytrzeźwieć. O dupach potrafimy tylko gadać. Kto z nas może się pochwalić jakąś stałą panienką? Dlaczego udajemy, że chodzenie z dziewczyną jest rzeczą niemodną, niegodną takich wspaniałych samców, jak my?

Okazało się, że nikt rzeczywiście nie miał dziewczyny, tylko ja miałem żonę. Ale żona w tym przypadku nie wchodziła w rachubę. Tym bardziej, że jej zaniedbywanie przeze mnie było dowodem na jej rację.

Mecenasa bił nas dalej swoją mową, niemiłosiernie: - Całymi wieczorami zadreżamy się myśłami, jak by się tu urwać z komuny. Po co? Czy ktoś w tej grupie jest takim idiotą, aby myśleć, że Zachód go odmieni? Że stanie się cud i, jak po machnięciu czarodziejską różdżką, z bezwolnych matolów staniami się błyskotliwymi milionerami? Zapomnijmy o tym. My,

całe nasze pokolenie, to zbiorowość straconych degeneratów. I pod każdą szerokością geograficzną będziemy z dumą prezentowali swoją politurę. Tym bardziej bezwartościową, że nie przykrywającą niczego, nawet nagiej prawdy o nas samych.

Po przemówieniu wstał, zebrał ze stołu tygodnik „Polityka”, „Literatura” i „Kultura”, poplamione tą zupą ogonową koloru gówna, i i tak zmyślnie złożył ich tytuły, że ujrzelśmy słowo POLIT-URA.

Gratulowaliśmy Mecenasiowi trafnego skojarzenia. Jednak sens jego wypowiedzi nie dotarł do nas jeszcze w całej swojej straszliwej prawdzie. Ale każdy z nas w głębi duszy przyznawał mu rację. Nasze życie było szalenie powierzchowne. Nie zrobiliśmy z nim niczego sensownego nie mieliśmy żadnych porządných pomysłów, pragnień, dążeń. Każdy z nas marzył o bogactwie, sławie, podniosłych przeżyciach, ale żaden nie kiwnął nawet palcem, żeby choć je przywołać. Jednym słowem, byliśmy nędznym stadem baranów bez przyszłości.

Słowa Mecenasa zostały przyjęte z aplauzem, lecz bez zrozumienia. Zbyliśmy tę prawdę klasyczną obroną uzależnionych, że kaznodzieja żartuje lub prawi tylko po to, by popisać się swoją wyuczoną elokwencją. A była to, niestety, prawda o nas: zagubionych, pełnych kompleksów udawaczach. Taką prawdę zasunął nam Mecenasi. Mówił także o sobie. Wcale tego nie ukrywał. Myślisz, że wzięliśmy sobie to do serca. Nic podobnego. Chlaliśmy dalej, zachwyceni swoją wspaniałością.

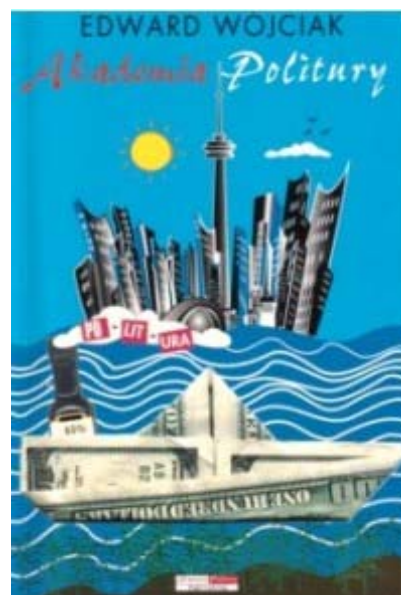
Akademia Polityry / Zbigniew Wójciak. - Toronto : Edward Wójciak, Akademia Polityry Publishing, 2004

Z LISTÓW DO „KLUBU POLITURY”

„.... Z jednej strony tego co Pan robi, nie uważam za nic zdrożnego. Przecież ludzie mają różne hobby. Zawsze lepsze takie pisanie niż wystawianie przed kioskami z piwem lub napadanie na ludzi. Tylko czy z tego wynika coś pożytecznego dla społeczeństwa? Jedno wiem – Mickiewiczem to Pan nie jest. Podziwiam jedną odwagę i upór. – Mal-kontent z Toronto”.

„Kiedy ujrzymy „Akademię Polityry” w polskich księgarniach/ Czytanie w odcinkach jest denerwujące. Rzecz w tym, że „Politurę” tak dobrze się czyta, że jak się skończy szczupły odcinek, chce się wiedzieć, co będzie dalej. I to jest właśnie wkurzające, że trzeba czekać do następnego dnia, a najgorzej jest przed weekendem. Gratuluję pomysłu, dobrej akcji i poczucia humoru – Alex D., Mississauga”.

„Rozumiem, że Pańskie postacie są fikcyjne, lecz przypuszczam, że do ich zbudowania posłużył się Pan rzeczywistymi, napotkanymi w naszym polonijnym świecie. Sam mimochodem łapie się na tym, że mógłbym być pierwowzorem jednej z nich, nie powiem której. Ale czy naprawdę nie napotkał Pan na emigracji żadnej pozytywnej postaci? Czy wszyscy ziomale są pijakami, narkomanami, złodziejami? Ej, chyba trochę Pan przesadził. Mimo to powieść mi się podoba. Jeszcze jedno: czy nie mógłby Pan dopieprzyć i dosolić trochę śmielszym seksem? Pozdrówka – Działad z nad Jeziora”.



„Szanowny Panie Redaktorze, Pańska powieść podobala mi się. Czytam od pierwszego odcinka i prawdę mówiąc to żałuję, że zapowiada Pan rychłe jej zakończenie. Chcę Pana pocieszyć: w przypadku ukazania się książki nie powinno być kłopotu z jej zbytem. Na rynku wydawniczym nie ma pozycji o poruszanej przez Pana tematyce. Pomysł wielkich ucieczek z komunistycznej Polski nie był chyba podejmowany w literaturze. Mieliśmy „Wakacjuszkę” Zofii Mierzyńskiej o życiu chicagowskiej Polonii, będziemy mieli „Akademię Polityry” o naszej, torontońskiej. Losy postaci zaplątanych w podejrzane interesy nie są być może reprezentatywne dla polskiego środowiska w Kanadzie, ale mocno prawdopodobne. Łączę pozdrowienia – Ignacy Ptaszek, Toronto”.

„Witam odważnego Autora! Cieszę się, że mogę sobie poczytać coś lekkiego, napisanego wprawnym piórem, bez pruderii - Jasia Skrzydelko, Toronto”.

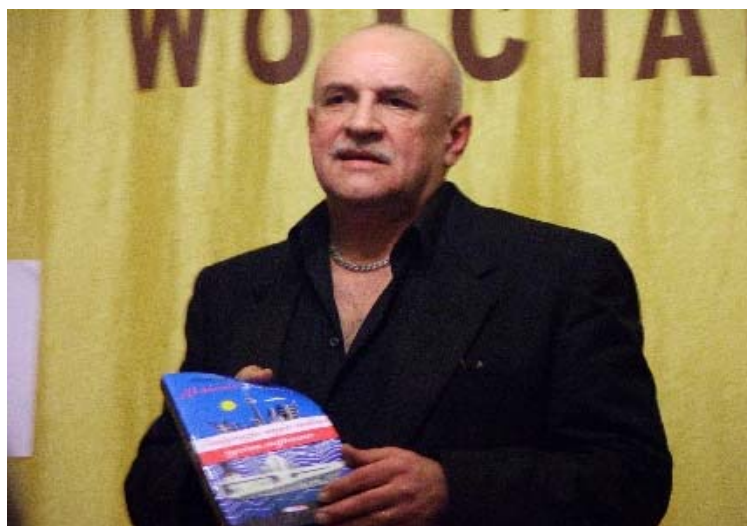
Akademia Polityry Edwarda Wójciaka

Autor książki „**Akademia Polityry**„ Pan Edward Wójciak mieszka w Kanadzie i od lat kilku zamieszcza w torontońskim piśmie codziennym „Gazeta” materiały dziennikarskie oraz literackie. Na łamach tej gazety ukazała się jego powieść w odcinkach. Udało się. Zdobył szerokie grono czytelników, a jak twierdził redaktor naczelny, nakład podskoczył dzięki temu znacznie. Zachęcające listy od czytelników sprowokowały autora do podjęcia ryzyka wydania książki własnym nakładem. W końcu grudnia [2004 r.] w polskich sklepach na terenie Toronto, Montrealu, London, Ottawy, Oshawy (Kanada) oraz Chicago i Buffalo (USA) pokazała się „Akademia Polityry”. Książka cieszy się niesłabnącą popularnością, czego dowodem jest wysoka jak na tujsze warunki sprzedaż.

O czym jest książka? Już pierwsi czytelnicy stwierdzali: „*Jest to powieść o nas samych, chociaż realizm polskich losów przeplata się w niej z fikcją wątków kryminalnych oraz osobistych przeżyć głównych postaci*”.

„*Wielkie ucieczki z komunistycznej Polski końca lat osiemdziesiątych początkiem pościgu rodaków za złudzeniami. Niektórym żądza pieniądza przesłania świat*” - tak autor rozpoczął cotygodniowe streszcze-

nia odcinków powieści, która powstawała niemal na oczach czytelników, wzbudzając ogromne zainteresowanie. Jakkolwiek akcja rozgrywa się współcześnie w Kanadzie, retrospektywy dotyczą w dużej mierze Polski, jak również przygód bohaterów w krajach tranzytowych w obozach dla azylantów rozrzuconych po całej Europie.



Należy wspomnieć także, że Pan Edward Wójciak napisał jeszcze inną książkę „Zupa z Króla-Ballada o kochaniu”. Jej akcja, co powinno zainteresować przyszłych czytelników z Tomaszowa Mazowieckiego, toczy się właśnie w tym mieście i jego okolicach; w Polsce od lat pięćdziesiątych do stanu wojennego. „Zupa” również z sukcesem drukowana była w odcinkach w „Gazecie”, a obecnie przygotowywana jest do druku. Już jesienią powinna pokazać się w Tomaszowie.

Źródło: <http://tomaszow.pl/news/>

Edward Wójciak wyróżniony w konkursie im. Marka Hłaski

Współpracownik Expatpolu- Edward Wójciak z Mississauga, Ontario został jednym z laureatów Konkursu Literackiego imienia Marka Hłaski organizowanego przez Klub Inteligencji Polskiej w Austrii oraz redakcję pisma JUPITER. Trzecia edycja konkursu literackiego na opowiadanie została ogłoszona przy założeniu, iż jest to konkurs TYLKO dla pisarzy POLONIJNYCH tzn. Polaków mieszkających poza granicami Polski. W konkursie wzięło udział 167 osób z 21 krajów. Pojawiły się teksty z tak

egzo-

tycznych zakątków świata jak: Boliwia, Liban, Nowa Zelandia czy... Azerbejdżan. Po raz pierwszy nadeszły opowiadania z Białorusi, Rosji, Mołdawii, Grecji, Hiszpanii i innych. Największy odzew był od piszących z USA, Kanady i Niemiec.

W tak licznej konkurencji Edward Wójciak otrzymał wyróżnienie za opowiadanie " Idę się bać ... zaraz wracam" oraz w kategorii nagród dodatkowych dostał nagrodę za opowiadanie "Siwy dym" przyznaną przez prezes Zofię Beklen za interesująco ujęty literacko i aktualny temat alkoholizmu. (Zofia Beklen jest Prezesem Towarzystwa Kulturalnego Kraków – Wiedeń).

Źródło: <http://expatpol.com/>
Autor został wyróżniony nagrodą we wrześniu 2005 r.

Władysław Pomarański

Wrażenia i uwagi po lekturze powieści Edwarda Wójciaka „Zupa z Króla : ballada o kochaniu”

[...]Trudno dostać się na rynek wydawniczy, bo za dużo ludzi pisze, a jeszcze trudniej o stałe i wierne grono czytelników. Coś w pisaniu Wójciaka jest, co go stawia przed tym pisarskim tłumem anonimowym, bo w niecałe dwa lata ukazuje się druga powieść, właśnie ta, o której tu mowa, a Autor, z rozpędu, zabrał się do pisania naraz dwu następnych powieści: „Idę się bać zaraz wracam” i „Siwy dym”.

„Zupa z Króla” to nie tylko jakieś literackie rozliczenie się z problemami dorastania Autora [...], ale to cała panorama ciekawego życia w mieście usytuowanym w samym centrum Polski (Tomaszów Mazowiecki), życia interesującego, bujnego, kochliwego, mimo że działo się to w czasie nudnawo-siermiężnego komunizmu, który starał się to życie obywateli, przepraszać, towarzyszyć, zesztancować, poddać rygorom filozofii i moralności socjalistycznej.

Nie z nami ta zabawa: Polacy, a w tym wypadku Tomaszowianie, to duchy niesforne, przekorne, niezależne. Widać to na każdej prawie stronie książki.

Wójciak jest urodzonym gawędziarzem. W książce niewiele jest zdań prostych, niezłożonych. Czytelnik szybko wpada w rytm opowieści, niejako jest niesiony falą. To bardzo sympatyczne odczucie, to powoduje, że niekiedy trudno odłożyć książkę, tak wciąga.

Elementy snów, majaczeń, baśni, przeplatają się mistrzowsko z realiami życia. Niekiedy trudno jest zauważyć, w jakim świecie jesteśmy. Jest dużo w powieści subtelnych opisów stanów duszy bohaterów, nawet sceny opisujące piękno natury są dobre, chociaż w tym chyba kobiety pisarki są lepsze.

Można całym sobą chłonać

w powieści zapachy, smaki, kolory Tomaszowa. Autor panuje nad swym warsztatem: gramatyka bez zarzutu, są słowa piękne mało używane w polszczyźnie mówionej; ogólnie mówiąc język jest jędrny, dosadny, ale gdy trzeba, to nawet i brutalny. Rezultat końcowy to prawdziwy „odjazd” dla czytelnika. Rysunki piórkiem Andrzeja Kowalczyka wzbogacają bardzo stronę graficzną wydania.

[...]Niezbym mi przypadł do gustu tytuł. Trochę zbyt wydumany. Ten Król to największy i najbardziej lubiany królik chłopca, bohater książki; z niego to któregoś dnia mama chłopca zrobiła zupę.

Ten fakt, oczywiście, zasłuchiwał chłopca, ale, o ile nie przeczytałem czegoś w czytaniu, nie miał wielkiego wpływu na jego psychikę, na jego dalsze losy. Moim zdaniem podtytuł byłby lepszym tytułem, bo w książce dużo kochania typu, nazwijmy to balladowego, bo jak w balladzie, zawsze wielozwrotkowej, ciągnie się to kochanie przez prawie 250 stron.

Po takim tytule nie potrzeba podtytułu – byłoby to już wielosłowie. Chociaż Autor już nie jest młodzikiem, ulega od czasu do czasu pokusom młodego, początkującego pisarza.

Lubię język gawędziarski - książka jednak w niektórych częściach zyskałaby, moim zdaniem, gdyby była bardziej zwarta językowo.

W kilku miejscach Autor włącza do narracji powiedzonka nieco wyświechtane – tego trzeba unikać jak ognia, to bardzo zaniża lot. Gdy jednak takie słowa wkłada w usta postaci z powieści, szczególnie tych niesympatycznych, np.: „pani da patyka”, czy piosenkę małolatów: „Idę do kina – łapie mnie glina, włosy obcina – Heine Medi-

na” – są one tu na miejscu, bo bardziej charakteryzują osobę czy wydarzenie niż całostronicowy opis.

Reasumując, chcę wszystko przedstawić w odpowiednich proporcjach: negatywy wyliczone mają się do pozytywów jak karłowaty krasnal do, powiedzmy, yeti.

Książkę naprawdę dobrze się czyta. Wyobrażam sobie, że kiedy dotrze do Tomaszowa Mazowieckiego będzie tam bestsellerem, wydarzeniem roku.

Gratuluję Autorowi, że miał tyle odwagi, żeby rzucić się w nurty literatury pięknej i zamiast utonąć, co jest losem większości początkujących pisarzy, Wójciak dzielnie płynie do przodu, bo chce chyba jak najszybciej dogonić polską czołówkę. Tego mu z całego serca życzę!

Recenzja ukazała się w wydawanej w Toronto „Gazecie”, 5-7 maj 2006



„Siwy dym” już zadymił

Rzęsiste oklaski. Radość tych, którzy przyczynili się do powstania książki, bezsilna złość nielicznych, dla których z nieodgadnionych przyczyn stało się to osobistą klęską. Przede wszystkim radość z sukcesu autora, Edwarda Wójciaka oraz księgarki, a od kilku dni debiutującego wydawcy – Barbary Goździk, właścicielki najstarszej księgarni w rodzinnym mieście autora – Tomaszowie Mazowieckim. Dla nich to przede wszystkim ten aplauz i podziękowania od czytelników. I chociaż, jak zapisał w tytule artykułu promocyjnego, dziennikarz Jan Pampuch w lokalnym tygodniku TIT: „Kwiatów nie było”, zamiast nich wystarczyła wdzięczność, ciepłe słowa i uznanie z tytułu wydania trzeciej książki, wieńczącej niewątpliwie osiągnięcie tego polonijnego pisarza z Toronto: trzy pozycje w ciągu trzech lat. Choć nie dopisała pogoda, jednak podobnie jak podczas promocji „Zupy z Króla” w piątek 13 października 2006 r. – nie wszyscy chętni do wzięcia udziału w spotkaniu autorskim Edwarda Wójciaka, mogli się dostać do wnętrza Galerii.

Zbigniew Belz: Trochę zeszło ci w starym kraju. Kiedy planujesz powrót do Kanady?

Edward Wójciak: Rzeczywiście, ani się obejrzałem, jak minęły cztery miesiące, może dlatego tak niespodziewanie szybko, że były dla mnie bardzo pracowite. W tym czasie zdołałem przygotować do druku dwie pozycje książkowe, z których na razie ukazał się „Siwy dym”, powieść, która zeszła z łamów „Gazety” przed rokiem. Następny w kolejności jest zbiór opowiadań zatytułowany „Krótka historia spodni w Tomaszowie Mazowieckim”, który zamierzam tak samo jak „Siwy dym” wydać nakładem tego samego wydawnictwa: „Księgarni Barbary Goździk” w drukarni MOMAG w Tomaszowie Mazowieckim.

Z.B.: Przed twoim wyjazdem nie chwaliłeś się planami wydawniczymi. Skąd wziął się pomysł na wydanie twojej trzeciej powieści właśnie w Polsce?

E.W.: Do Polski przywiozłem „Siwy dym” w stanie, że tak się wyrażę, półsurowym, po wstępnej korekcie. Na miejscu poddałem tekst zwyczajowej

obróbce i zacząłem się rozglądać za wydawcą. Sprawa ta nie jest łatwa. Bezpośrednie kontakty ze środowiskiem polskich autorów i publicystów uświadomiły mi, na jakie wielkie kłopoty narażeni są ci pierwsi w konfrontacjach z profesjonalnymi wydawnictwami. Całkiem przypadkiem, powiedziałbym nawet że półżartem – półserio, moja koleżanka, Zasłużony Księgarz Rzeczypospolitej (złota odznaka Stowarzyszenia księgarzy Polskich), Basia Goździk, wyraziła gotowość wydania mojej książki swoim nakładem. Od słowa do słowa, wszystko nagle zaczęło się toczyć tak, jak w piosence Boba Dylana „Like a rolling stone”. Projekty błyskawicznie zamieniały się w efekty, przy wydatnej pomocy przyjaciół z mojego rodzinnego miasta. Tak, to oni są współautorami tej książki. W małym mieście w środku Polski, gdzie osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców walczy o przetrwanie po rozkładzie podstawy bytu z minionego okresu – przemysłu włókienniczego, znaleźli się o dziwo sponsorzy. Mam na myśli: Starostwo Powiatu w Tomaszowie Maz., Fundację Rozwoju Powiatu Tomaszowskiego, Drukarnię MOMAG oraz delikatesy i firmę cateringową „Deko Smaku”. Basia i jej „Księgarnia” wyłożyła resztę, czyli większość środków finansowych. Patronami medialnymi projektu ochoczo zadeklarowały się zostać lokalne media: Telewizja Tele-Top, Radio Fa-Ma, tygodnik TIT, a także, a może przede wszystkim moja kochana torontońska „Gazeta”, której logo zajmuje poczesne miejsce na okładce książki.

Z.B.: Dziękuję za wyróżnienie. Jak radzisz sobie ze sprzedażą? Jak promujesz książkę w Polsce?

E.W.: Po oszałamiająco udanej "premierze" w tomaszowskiej Galerii Arkady, ruszyłem na "podbój"... Berlina. Ewa i Wiesiek Fiszbachowie, zawodowi plastycy zamieszkujący od lat w Berlinie, zorganizowali mi wspaniałą imprezę w Domu Polskim przy Potsdamerstr. 63. Zgromadzeni tam licznie polonusi przyjeźli mnie bardzo gorąco, co zaowocowało niebagatelną sprzedażą książki. Przed wyjazdem całkiem przypadkiem "skrzyknąłem" się z tomaszowianinem z Gdańska,

Włodkiem Votką, członkiem znanej kiedyś "Kapeli Gdańskiej". W towarzystwie człowieka, którego bez żadnej przesady można nazwać "Człowiekiem-Orkiestrą" udało się podbić serca berlińczyków pochodzenia polskiego. Ta promocja w Polnische Haus to nie koniec berlińskiego ciągu sukcesów. Następnego dnia na zaproszenie znanego malarza Stefana Dybowskiego, byłem honorowym gościem na otwarciu wystawy polonijnych plastyków w przepięknej Galerii pod Kościołem Polskiej Misji Katolickiej w Berlinie przy Lilienthalstr. 5. Ta wystawa rozpoczęła ciąg imprez artystycznych poświęconych 25. rocznicy istnienia Misji a także II rocznicy śmierci Jana Pawła II. Efekty tego spotkania przerosły moje najśmielsze oczekiwania, a mam tu na uwadze nie tylko kontakty z berlińską Polonią. O jej liczebności oraz zainteresowaniach wydarzeniami kulturalnymi, przekonać się miałem dopiero następnego dnia. 2 kwietnia w kościele Misji zorganizowano wielki koncert. W obecności 2 tysięcy widzów, przy całkowicie wypełnionym kościele, w przepięknej oprawie scenicznej przed głównym ołtarzem, podziwiać mogłem koncert Józefa Skrzeka, Tadeusza Woźniaka i innych polskich wykonawców, a w przerwach Anna Dymna w niezapomniany sposób czytała wiersze księdza Twardowskiego. Nastroju oraz piękna tego pokazu nie da się po prostu opisać słowami. Po koncercie ten cały tłum przemaszerował przez Galerię, gdzie podpisywałem swoje książki.

Z.B.: Teraz powinno paść stereotypowe pytanie: Jakie są Twoje dalsze plany, w tym twórcze?

E.W.: Będę bardzo zajęty. Już 12 kwietnia wystąpię na żywo w audycji radiowej znanej dziennikarki Joanny Sikorzanki w Radio Łódź. Wspomnę, że w grudniu ta znana kiedyś z Radiowej Trójki dziennikarka, nagrała już ze mną dwie audycje, w których czytane były fragmenty moich książek. Jeśli jesteśmy przy radiu, to tomaszowskie Radio Fa-Ma planuje czytanie na swojej antenie "Siwego dymu" w odcinkach, przy muzyce Włodki Votki. W piątek, 13 kwietnia, już po raz drugi będę gościem na spotkaniu autorskim

w salach Biblioteki Dziecięcej w Rawie Mazowieckiej. Spieszę przypomnieć, że w tym uroczym miasteczku pracowałem kiedyś przez lat siedem jako agent na stacjach benzynowych. 21 kwietnia w Kazimierzu nad Wisłą wezmę udział jako honorowy gość w wernisażu obrazów mojego przyjaciela z Berlina, Stefana Dybowskiego. Poza tym poprosiła mnie o wywiad Telewizja Polonia. Emisja dziesięciominutowego nagrania nastąpi pod koniec maja. 27 kwietnia wystąpię na spotkaniu autorskim w Smardzewicach nad Zalewem Sulejowskim. A potem... zobaczymy się chyba w Kanadzie.

Z.B.: Słyszę, że trafiasz "pod strzechy"...

E.W.: Zgadza się i jestem z tego faktu dumny, daje mi to wiele powodów do radości. Taka, że tak powiem, oddolna promocja, ma swój niezaprzeczalny urok. Także niewątpliwą moc, czego już doświadczyłem podczas pierwszego spotkania z czytelnikami w Rawie Mazowieckiej. Okazuje się, że taki oddolny "network" działa znakomicie. I chociaż akcja "Siwego" rozgrywa się w Kanadzie, okazuje się, że tematyka emigracyjna ciągle intryguje ludzi w Polsce. Jako dowód przytoczę fakt, że na promocji w tomaszowskiej Galerii Arkady nie dyskutowałem z czytelnikami wiele o moich książkach, za to aż zasypano mnie pytaniami na temat kanadyjskiej Polonii. Właśnie w swoim środowisku z dawnych lat poczułem się jak przysłowiowa ryba w wodzie. Mało tego, nabrałem siły, poczułem się im potrzebny, wiarygodny, uznałem, że ta lokalna popularność daje mi "kopa" do dalszego działania. Ludzie z tak zwanej szeroko pojętej prowincji chcą mieć kogoś swojego, kim można się pochwalić przed innymi. Są dumni, że z ich środowiska wyrósł człowiek, który potrafi nie dość, że przyjechać z daleka tylko dla nich, to jeszcze podaje im rękę, wysłuchuje i rozmawia o ich problemach, który wcale się nie "puszy", że użyję witkacowskiego określenia. Problem alkoholizmu, z którym boryka się bohater "Siwego dymu", jest w Polsce bardzo aktualny, a ludzie, jak ze zdziwieniem dostrzegłem, przestali się wstydić poruszać ten drażliwy kiedyś temat. Ja już dawno otwarcie mówię o tych sprawach na moich spotkaniach autorskich, czym nie tylko nie zrażam sobie czytelników, lecz zdobywam coraz więcej przyjaciół, a jest to proces

działający na zasadzie sieci. Okazuje się, że z "Siwym dymem" trafiłem w przysłowiową "dziesionę", właśnie za przyczyną ostro pokazanego problemu alkoholowego bohatera.

Z.B.: Jednym słowem - Ameryka w Polsce! Gratuluję i czekamy na Twój powrót do Kanady z wieloma egzemplarzami "Siwego dymu" dla naszych Czytelników.

E.W.: "Siwy" już idzie pocztą na adres "Gazety" i niedługo będzie można nabyć książkę w księgarniach. Dziękuję za możliwość wypowiedzi i pozdrawiam Czytelników "Gazety" - moich Czytelników.

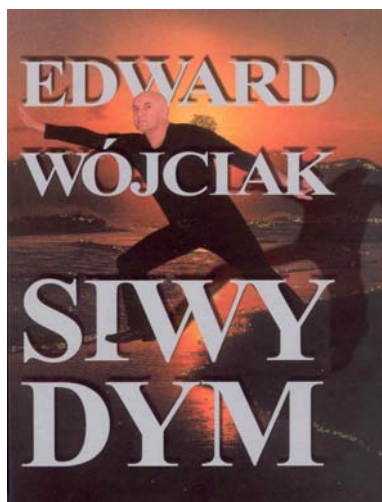
Z pisarzem Edwardem Wójciakiem rozmawiał 13 kwietnia 2007 r.

Zbigniew Belz

http://www.gazetagazeta.com/artman/publish/article_17684.shtml

A może byśmy tak najmiłsza wpadli na dzień do Tomaszowa...

Jak napisał „Dziennik Łódzki”, była to moja podróż sentymentalna. Nie ukrywam, że była. Odwiedziłem moje kochane miasto Tomaszów Mazowiecki, obszedłem stare miejsca, spotkałem kochanych i całkowicie oddanych, życzliwych mi ludzi. Nawiązałem tak potrzebne „młodemu”



pisarzowi kontakty, podpisałem wstępną umowę z jednym z polskich wydawnictw. Na polskiej promocji „Zupy z Króla” w tomaszowskiej Galerii Arkady pojawili się znani dziennikarze: Dariusz Wilczak z tygodnika „Newsweek Polska” i Marek Koprowski z tygodnika „Angora”. Jeszcze tylko wystąpiłem

przed kamerami TV Polonia, kablowa telewizja tomaszowska wyemitowała trwający czterdzieści minut wywiad, wiele razy pisały na mój temat lokalne gazety. Cóż więcej? No nie, tyle powinno przecież aż nadto wystarczyć. Może tylko dodam jeszcze, że były to dla mnie bardzo szczęśliwe i nie mniej udane dwa tygodnie. Mimo napiętego programu pobytu powróciłem do Toronto odświeżony, wypoczęty i naładowany optymizmem. Dziękuję Wam za to wszystko, kochani Tomaszowiacy. W najbliższym czasie planuję promocję „Zupy z Króla” w restauracji „Fregata” w Mississaudzie (w nadzwyczaj doborowym towarzystwie), oraz przez kilka kolejnych niedziel podpisywanie swoich książek w Centrum Kultury imienia Jana Pawła II w Mississaudzie.

Edward Wójciak

Artykuł z tomaszowskiego tygodnika *Tomaszowski Informator Tygodniowy* (czwartek, 19 października 2006)

Zbigniew Wójciak o książce „Zupa z Króla”

O czym jest „Zupa z Króla”? Jest książką o najcudowniejszym aspekcie ludzkiego życia, jest bowiem książką o kochaniu. Jedna z czytelniczek po lekturze odcinków „Zupy z Króla” nazwała mnie „cudownym opowiadaczem historii”. Akcja rozgrywająca się w małym miasteczku położonym w samym środku Polski, toczy się pod dyktando opowiadań raz bohatera, Filipka Krawca, raz narratora. Chociaż książka mocno oparta jest na twardych realiach dojrzewania, przekształcania się dziecka w młodzieńca oraz wchodzenia w wiek dorosły w powojennej rzeczywistości siermiężnego komunizmu, atmosfera budowanego świata jest po połowie z tą realną – baśniową, fakty – nie zawsze do końca wyjaśnione, a opowiedziane historie wiążą się ze sobą po jakimś dopiero czasie, początkowo pozornie bez ładu poroźrucane po kartach książki jak klocki. Oddaję „Zupę z Króla-balladę o kochaniu” w ręce Czytelników z nadzieją, że przypomni niektórym stare, kochane miejsca, a innym opowie kawałek współczesnej historii Polski”.

Dodam jeszcze, że akcja mojej książki toczy się w autentycznym mieście, Tomaszowie Mazowieckim, moim mieście, jemu zresztą książka jest dedyko-

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
w Łodzi

ul. Gdańska 100/102
90-508 Łódź
Tel.: 0-42 636-68-35 (sekretariat)
Tel.: 0-42 637-30-90 (centrala)

www.wimbp.lodz.pl

Nakład: 100 egz.
Redakcja i skład komputerowy
Małgorzata Cegiętka



wana. Aby dokładniej poinformować Czytelników o tym, co w książce jest prawdziwe, a co fikcyjne, zamieszczam na stronie tytułowej taką informację, która powinna rozproszyć wszelkie ewentualne wątpliwości:

„Prawdziwe w tej książce jest wszystko, z wyjątkiem postaci, zdarzeń i sytuacji, które są fikcją i nie mają żadnego odniesienia do rzeczywistych. Prawdziwe jest miasto Tomaszów Mazowiecki, autentyczne jest porwanie bohatera, a już najprawdziwsze to są Anioły, przez całe życie krążące nad jego głową”.

Tak więc książka jest bardzo tomaszowska, ale żeby była jeszcze bardziej, zilustrowałem ją doskonale oddającymi klimat tamtych lat rysunkami. Skąd te rysunki? Otóż mam w moim mieście przyjaciela, który oprócz tego, że jest dyrektorem wspaniałej instytucji miejskiej: Skansenu Rzeki Pilicy, to jeszcze wspaniale rysuje piórką. Poprosiłem więc Andrzeja Kobalczyka o pozwolenie na publikację w mojej książce jego rysunków. Udzielił mi pozwolenia, i to całkowicie bezpłatnie. Na dodatek dzięki jego protekcji, skorzystałem jeszcze z kilku zdjęć autorstwa Artura Wolskiego, który jest rzecznikiem prasowym prezydenta miasta Tomaszów Mazowiecki. Nie ukrywam, jak bardzo jestem wdzięczny obu panom za bezcenną przysługę.

Jaki jest mój stosunek do „Zupy z Króla”? Przyszan, że bardzo osobisty i nie zwyczajny, chociaż nie jest to powieść autobiograficzna. Nie byłbym jednak szczerzy z Czytelnikami i z samym sobą, gdybym nie przyznał się do tego, że oparta jest w pewnym sensie na moich własnych przeżyciach. Ale w jakim stopniu – nie, do tego już się nie przyznam. Mogę jedynie powiedzieć, że z pewnością oparta jest na własnych obserwacjach, połączonych wyobrażeniami, albo też literacko wyrażonymi przypuszczeniami, na temat: - Co by było, gdyby...?

Prawda, że każdy sobie choć jeden raz w życiu zadał takie pytanie? A ja zadałem ich sobie może trochę więcej i dlatego być może musiałem napisać książkę pod tytułem: „Zupa z Króla-Ballada o kochaniu”. Mimo iż jest moją drugą wydaną książką, to tak naprawdę jest to pierwsza napisana przeze mnie powieść. I dlatego się tak do niej przywiązałem, i dlatego umiejscowiłem jej akcję w moim mieście, i dlatego samolubnie twierdząc, że jest to bardzo dobra książka. A jaka jest naprawdę? Pewnie, że się boję oceny moich Czytelników, których wielu poznałem osobiście, przy okazji prezentowania „Akademii Polityry” i wiem, że są to Czytelnicy nad wyraz czujni i dobrze wyrobieni. Polecam więc ich uwadze ten właśnie fakt, aby przy czytaniu przypomnieli sobie niniejsze wyznania autora i wzięli w swoich ocenach poprawkę na czuły, może zbyt czuły jego stosunek do wytworu własnej wyobraźni, z którym tak mocno związał się emocjonalnie. Życzę Państwu przyjemnej lektury!

<http://expatpol.com/index.php?stsid=28034&kid=49>

Historia "Gazety"

W 1988 roku na kanadyjskim rynku prasowym pojawiło się polskojęzyczne pismo - "Gazeta", wychodzące trzy razy w tygodniu. Była to pierwsza publikacja prasowa niezależna od żadnych organizacji polonijnych. We wrześniu 1993 roku "Gazeta" przekształciła się w dziennik. Był to pierwszy w Kanadzie, czwarty na kontynencie amerykańskim, pierwszy prywatny polski dziennik poza granicami kraju. "Gazeta" od początku zyskała sobie popularność - nie bała się podejmowania trudnych tematów, krytyki i interwencji. Od 1998 roku, wraz z reformą administracyjną Toronto (tzw. amalgamacją), stworzony został dział miejski, oferując po raz pierwszy w polonijnej prasie codzienne wiadomości z Toronto.

Codziennie wydanie "Gazety" to kilkadziesiąt stron interesującej lektury, która dostarcza czytelnikowi aktualnych informacji o tym, co dzieje się na świecie, w Polsce, ale także tu, gdzie żyje, czyli w Kanadzie. Od 2000 roku do wydania wtorkowego dołączana jest "Angora" - 64 strony tygodniowego przeglądu najciekawszych artykułów prasy krajowej i zagranicznej. W ostatni weekend miesiąca "Gazeta" zawiera dodatek kulturalny "List oceaniczny". Główne wydanie "Gazety" to wydanie torontońskie. Docierając do wszystkich miast południowego Ontario, "Gazeta" wychodzi w nieco zmienionej wersji, przyjmując w podtytule nazwę ONTARIO. Trzecie wydanie kierowane jest do czytelnika spoza Toronto i Ontario, oferując lokalne materiały z poszczególnych regionów. "Gazeta" jest stałym sponsorem najważniejszych imprez kulturalnych w Toronto. To właśnie "Gazeta" stworzyła Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Toronto - doroczną imprezę filmową, która od 1999 roku jest organizowana przez związaną blisko z "Gazetą" firmę promocyjną FENIKS Polish Film Promotion.

"Gazeta" otrzymała wiele nagród, m.in. od Toronto Crime Stoppers, a także nagrodę Canadian Ethnic Journalists' and Writers' Club w 1992 roku dla jej wydawcy Zbigniewa Bełza. Ostatnio, 27 czerwca 2003 roku, dziennikarka „Gazety” Małgorzata P. Bonikowska otrzymała prestiżową nagrodę Canadian Ethnic Journalists' and Writers' Club z okazji 25-lecia tego stowarzyszenia za cykl artykułów o domu seniora Copernicus Lodge w Toronto.

"Gazeta" wydawana jest w trzech wersjach: torontońskiej, ontaryjskiej, ogólnokanadyjskiej.

Dociera od Montrealu na wschodzie, przez Detroit na południu, do Vancouveru na zachodzie.

<http://www.gazetagazeta.com/onas.html>